

Książki we mnie siedzą

Znana pisarka Małgorzata Kalicińska opowiadała w Kielcach o swojej pracy i życiu prywatnym. Okazało się, że w ciągu roku połowę czasu spędza w Polsce, połowę w... Korei



Małgorzata Kalicińska

Małgorzata Kalicińska przyjechała do Kielc na specjalne życzenie czytelniczek Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, które chciały poznać autorkę sagi „Nad rozlewiskiem”.

53 lata. Warszawianka, absolwentka Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Pracowała w szkołach, w Programie 1 Telewizji Polskiej w programie „Kawa czy herbata”. Wiele lat pracowała i była współwłaścicielką Agencji Reklamowej Camco-Media. Autorka bestsellerowych powieści z cyklu „Nad rozlewiskiem”. Ma dwoje dorosłych dzieci - Stanisława i Barbarę.

Małgorzata Kalicińska zaproszenie przyjęła chętnie, bo lubi ludzi i lubi z nimi rozmawiać. Najpierw musiała się wytłumaczyć, dlaczego pisze lub dlaczego tak późno, bo dopiero tuż przed pięćdziesiątką zaczęła pisać. - Często słyszę to pytanie, które brzmi jak wyrzut: absolwentka Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i pisze, jakim cudem?! - przyznała. Bo przecież pisać nie zamierzała. Zwłaszcza wtedy, gdy w szkole podstawowej przynosiła z wypracowań trójki. To za radą mamy, świetnej polonistki, zaczęła pisać pamiętnik. Pomogła też kuzynka, z którą w czasie wakacji korespondowały. - Mojej listy były krótkie, jej długie, o niczym i bardzo ciekawe. Spróbowałam i ja tak pisać - przyznawała pisarka.

Pamiętnik spaliła, bo bała się, że wpadnie w ręce dzieci, wnuków i one będą się śmiać z uniesień pełnych egzaltacji.

Trochę żałuję - wyznała ze śmiechem. Ale książka, która zyskała taki rozgłos, „Dom na rozlewiskiem”, powstała z rozpaczy.

Z ŻYCIA WZIĘTE

Kalicińska jest bowiem sama taką kobietą, jaką często opisuje. Która po stracie, wielkich zawirowaniach podnosi się i idzie do przodu. Ona też straciła cały majątek. Nie powiódł się plan wybudowania na Mazurach pensjonatu. - Straciłam wszystko, ale w którymś momencie dotarło do mnie, że to tylko pieniądze - mówiła i wyjaśniała, że wyszła z dołka dzięki psychicznej pomocy innych ludzi. - Moim mężem zajął się syn, mną córka, to ona rozumiała moje tzy, potrafiła przytulić, ale i nakrzyć, kiedy była potrzeba.

I właśnie w tym najgorszym okresie Małgorzata Kalicińska zaczęła pisać. - Najpierw dzieje rodziny, a potem książkę, która mogła przytulić, takie „Dzieci z Bullerbyn”, ale dla dorosłych - porównuje. Napisała o domu, jaki chciała stworzyć na Mazurach, o kobietach i mężczyznach, jakich znała. Takich po przejściach, ze skazami.

Za namową córki pokazała książkę i Tadeusz Żysk z Po-

znania postanowił ją wydać. - Dzień, w którym syndykowi oddawałam klucze od majątku, był dniem, w którym książka trafiła do księgarń. Mogłam temu panu pokazać gest Kozakiewiczza, chociaż nie wiedziałam, że to będzie taki sukces.

A czytelniczki bardzo polubiły tę opowieść, potem ukazały się dwie kolejne części. - I to koniec. Nie będzie ciągu dalszego - powiedziała autorka i dodała, że już pisząc „Miłość nad rozlewiskiem” miała problemy z narratorką Paulą, która buntowała się i chciała, żeby pisać dla niej innej sceny. - Nie wiem, czy ja jestem inna, ale naprawdę miałam takie problemy z postacią z książki - mówiła Kalicińska.

Ostatnia jej książka - „Fikołki na trzepaku” - to najbardziej osobista, wspomnieniowa pozycja. - Wracam w niej do dzieciństwa, ono dzisiaj wygląda zupełnie inaczej.

Przyznała też, że ma rozgrzebaną kolejną książkę i być może w lipcu ją skończy, nie chciała jednak zdradzić, o czym będzie. - Temat może was zaskoczyć, ale z książkami, które piszę, jest tak, że to



Fot. Aleksander PiekarSKI

- Po sukcesie „Domu nad rozlewiskiem” dotarło do mnie, że jeszcze wiele w życiu mogę zrobić - mówi Małgorzata Kalicińska.

one we mnie siedzą i nagle chcą wyjść. Piszę więc, nie zostawiając innych zajęć.

MIĘDZY POLSKĄ A KOREĄ

Małgorzata Kalicińska wie, gdzie dzisiaj bardzo aktywne życie. Pół roku spędza w Polsce, a drugie pół w Korei Południowej, gdzie pracuje jej partner. - Jest stoczniovcem i zastanawiam się nad napisaniem czegoś o ludziach z Korei, tubylcach i pracujących tam obcokrajowcach - wyjaśnia. Jednocześnie buduje dom pod Warszawą, do którego chce się

wprowadzić za rok, bo miasto ją męczy, chce z niego uciec.

- Czasami, rozmawiając z moim partnerem, zastanawiamy się, co by było, gdybyśmy spotkali się 10 czy 20 lat wcześniej. I oboje dochodzimy do wniosku, że przeszlibyśmy obok siebie. Bo wtedy byliśmy zupełnie innymi ludźmi. Potrzeba było czasu i doświadczeń, byśmy się zmienili. Oszlifowali, zaczęli doceniać inne rzeczy, żyć w innym rytmie.

Lidia CICHOCKA
cichocka@echodnia.eu